

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



LUDWIK PASTEUR.

Dnia 28-go września bieżącego roku zmarł we Francyi jeden z dobroczyńców ludzkości.

Jest to najpiękniejszy tytuł na jaki człowiek zasłużyć może, a Pasteurowi przyzna go każdy, kto wie o jego działalności; zasłużył on na miano dobroczyńcy odkryciami naukowymi, które nie jednego już uchroniły od śmierci, a przysiętem nauczyły nas poznawać przyczyny wielu codziennych zjawisk.

Któż z czytelników Wieczorów nie słyszał o wściekłości dotąd śmiertelnej dla ludzi i zwierząt; otóż Ludwik Pasteur znalazł najskuteczniejsze lekarstwo na tę straszną chorobę, badając jej przyczyny.

Czytelnicy wiedzą też o istnieniu mikrobów, o których nieraz wspominaliśmy w Wieczorach tych naszych wrogów i przyjaciół tak maleńkich, że widzieć je możemy tylko przy pomocy silnego mikroskopu; nazwaliśmy te żyjątka wrogami, bo powodują one wiele ciężkich chorób, a przyjaciółmi, gdyż one to sprawiają swą obecnością różne pożyteczne dla nas zjawiska. Przypominamy więc tu jeszcze tylko w krótkości, że one powodują fermentacye, którym zawdzięczamy istnienie wina, piwa, bez których nie mielibyśmy lekkiego, gąbczastego chleba na drożdżach. Owe zwykłe drożdże, których używa każdy piekarz nie wiedząc czem są właściwie, owe przeróżne mikroby, Pasteur dokładnie zbadał, wykazał czem są, jak działają na różne ciała, w jaki sposób można je zużytkować i co ważniejsze uchronić się od nich, gdy nieproszone odbierają nam zdrowie, nawet życie, lub też mniej groźne a szkodliwe psują nam żywność i napoje, wino zamieniają w ocet, masło w tłuszcz kwaśny lub gorzki i t. p.

A nie była to łatwa praca nad temi maleńkimi żyjątami których różne rodzaje, odmiany sąsiadują z sobą; należało więc każdą odmianę odosobnić i wykazać, która właściwie jest szkodliwą w danym wypadku, która zaś obojętną.

W powietrzu krąży mnóstwo mikrobów, połykamy je bezkarnie, gdyż tylko pewne z nich są dla nas szkodliwe; a tak małe różnice widzimy w ich postaci, albo kulistej albo pałeczkowatej, wreszcie przypominającej kawałeczek nitki. Możemy ztąd sądzić, ile cierpliwości, uwagi i wiedzy potrzeba było na

ZADANIE KONKURSOWE.

Stosownie do wielu życzeń prenumeratorów naszych, dajemy obecnie rycinę, mającą służyć za temat do wypracowania konkursowego z nagrodami dla piszących. Nie wątpimy, że czytelnicy umiejący się zastanawiać znajdą w jej widoku odpowiednie pole dla swej wyobraźni. Powiastka na ten temat może być dłuższą lub krótszą, stosownie do upodobania piszących, do których liczyć się mogą zarówno młodsi jak starsi z naszych czytelników, do lat piętnastu wieku. Do każdego wypracowania dołączyć należy w oddzielnej zapieczętowanej kopercie pseudonym, imię i nazwisko, wiek oraz dokładny adres piszącego. Termin nadsyłania wypracowań wyznaczamy na dzień 15-go grudnia

wykazanie właściwości ujemnych lub dodatnich tych najdrobniejszych w świecie roślinnym żyjątek.

A jednak Pasteur dokonał nie tylko tej pracy, zawdzięczamy mu wiele jeszcze innych odkryć.

Chcąc je tu wymienić musielibyśmy każde z nich poprzedzić objaśnieniami, na które tutaj nie mamy miejsca.

Wspomniemy tylko o szczepieniu wścieklizny osobom pokąsanym przez zwierzę dotknięte tą chorobą, którą powodują pewne mikroby.

W skutek licznych doświadczeń czynionych na zwierzętach, Pasteur odkrył że pewna ilość jadu wścieklizny zaszczipiona pokąsanemu człowiekowi, wywołuje lekkie tylko bardzo objawy chorobliwe, a za to nie pozwala rozwinąć się mikrobowi wścieklizny które, z rany spowodowanej ukąszeniem rozchodzą się po całym ciele.

Dziwne to zjawisko, nieprawdaż, by jadem jakiejś choroby można było ją leczyć? A jednak jest to zjawisko znane już dawniej przed Pasteurem, od chwili, gdy sto lat temu w r. 1796 doktor Jenner zaczął szczepić ospę by ludzi od tej choroby uchronić.

Z zawodu swego Ludwik Pasteur był chemikiem. Pochodził z biednej rodziny, (ojciec jego był garncarzem), ale jego zdolności poparte wytrwałą pracą postawiły go na wysokim stanowisku uczonego pierwszego rzędu, przed którym schyla czoło każdy człowiek wykształcony. Jeśli głęboka wiedza zjednała mu szacunek i poklask cywilizowanego świata, równą cześć budził jako człowiek głęboko religijny i szczerze miłujący Francję. U Ludwika Pasteura serce nie ustępowało głowie, uczucie — umysłowi.

Po wojnie między Francją a Niemcami w 1871 roku, gdy wielka niechęć powstała między temi narodami, Pasteur zrzekł się honorowego tytułu członka uniwersytetu w Bonn, a od cesarza niemieckiego Wilhelma nie przyjął orderu.

Wielki uczoney sam sobie umiał postawić najpiękniejszy pomnik we wdzięcznej pamięci ludzkiej; i tak w roku 1892-im cała Europa wzięła udział w jubileuszowym obchodzie siedmudziesiątej rocznicy jego urodzin. Przez pewien przeciąg czasu Pasteur był profesorem w Sorbonie, uniwersyteckiej instytucji w Paryżu. Porzucił jednak zawód pedagogiczny, by całkowicie oddać się pracy naukowej. Dnie całe spędzał w swoim laboratorium badając naturę, właściwości drobnych żyjątek. W roku 1888 powstał w Paryżu ze składek prawie wszystkich narodów europejskich, instytut poświęcony rozpoznawaniu i badaniu wszelkich mikrobow. Instytut nosi nazwę swego zmarłego twórcy i kierownika.

Nie każdemu dane są zdolności uczonego o którym tu piszemy, każdy jednak naśladować by go powinien pod względem charakteru niesplamionego żądzą małostką, wytrwałości w pracy i gorącego umiłowania tego co piękne i szlachetne.

A. M.

W pustyniach Australii.

PRZEEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

W istocie, pokazywała się woda; dalsze warstwy piasku były nią obficie przesiąknięte. Abel zwilżył koniec palców, podniósł do ust i skrzywił się.

— Słono gorzka! — rzekł.

O kilkaset kroków dalej powtórzono doświadczenie z tym samym wynikiem. Powierzchnia równiny mętniała; srebrny, w promieniach słońca błyszczący oślepiająco całun soli rozpyływał się, z pod ziemi wydobywał się kolor brunatno żółty, wilgotnego piasku. Odbywało się to ze zdumiewającą szybkością.

— Żkąd, na Boga, wzięła się ta wilgoć!? — zawołał Dugan; — nie a nie nie rozumiem... To rzecz niesłychana!

— Rzeczywiście, znajdujemy się w krainie cudów, — rzekł Jerzy, badając ślady wielbłądziej, które zamieniały się natychmiast po przejściu zwierząt w miniaturowe jeziora.

Gromadka zatrzymała się znowu, nie wiedząc co czynić; całun śnieżysty stopniał w niecały kwadrans; dookoła, jak okiem sięgnął, żółciły się piaski.

Zaniepokojenie i zdumienie podróżników zamieniło się w trwogę, gdy spostrzeżono, że woda, nasiłkająca pustynię, zaczyna występować ponad jej powierzchnię. Olbrzymi obszar przemieniał się w oczach, jak gdyby za uderzeniem czarnoksiężkiej różdżki, w nieprzejrzaną jezioro.

— Czyżby rzeka weszła pod wpływem deszczów? — pytał głośno sam siebie Dugan. Nie, bo widzielibyśmy falę, biegnącą od wschodu. Cóż więc?

Domysły te przerwało beczenie wielbłądów. Szlachetne okrety pustyni rzucały się niespokojnie, przestępowały niecierpliwie z nogi na nogę, zdradzając trwogę.

— One czują niebezpieczeństwo! — zawołał Jerzy.

— Tak, węższą zbliżającą się powódź, która wkrótce zatopi pustynię.

Te słowa Abła rozświekliły nagle, jak błyskawicą, całe położenie.

— Na Boga, ty masz słuszość! — krzyknął Dugan, — znajdujemy się na dnie jeziora, które budzi się z letniego letargu. Morbora, Tomie, zajmijcie miejsce na siodłach, żywo!

— Dokąd mamy uciekać, kiedy się znajdujemy na równinie? — zagadnął doktor.

— Do brzegu, do brzegu, tam! — odparł podróżnik.

Karawana, gnana tajemną trwogą, popędziła na południe, w kierunku grupy filarów piaskowców, rysujących się na horyzoncie. Wielbłądy galopowały, rozbijając kopytami piasek, i rozbrzuszając na wszystkie strony występującą ponad jego powierzchnię wodę.

Była to rozpaczliwa ucieczka, w której chodziło o ocalenie życia. Niebezpieczeństwo rosło, tajemnicze wody, wydobywające się z łona pustyni, ze złowrogim spokojem, lecz bezustannie, sięgały już wielbłądom powyżej kopyt. Najbardziej spozstrzegacz nie zauważyłby żadnego ruchu na powierzchni tego cudownie powstającego jeziora; jego rozległa szyba nie drgała najbliższym dreszczem, nie zmąciła się najmniejszą odrobiną piary; w powietrzu była cisza, firmament czysty, wyglądał jak jedna tafla turkusowego wypolerowanego. W całej naturze panował jakiś spokój, graniczący z martwością, która, zamiast łagodzić, zwiększała grozę położenia.

Podróżnicy, czuli instynktownie, że w przyrodzie działo się coś niezrozumiałego, niewytłomaczonego, że nad ich głowami wisi katastrofa, której jeszcze nazwać nie można.

było. Oczy ich błdziły niespokojnie po niezniernej, wspinałej, przezroczystej tafli, poziom której wznosił się szybko, choć niepostrzeżenie.

Podwyższone miejsca tworzyły rój wysepek, które jednak znikwały, jedna po drugiej; w pół godziny niespełna ponad tonią spokojną sterczały tylko tu i owdzie wierchołki skał, i glazy zakopanych w piasku filarów.

Wielbłądy, mając wodę po kolana, zwolniły biegu i szły truchtem, chociaż jeźdźcy nie żalowali szpicruty.

— Czy nie byłoby najlepiej schronić się na jedną z tych wyniosłości? — odezwał się Jerzy.

— A któż ci zareczy, że woda jej nie zaleje? — odparł Abel, który jechał na tym samym wielbłądzie.

— Przecież przybór musi ustać.

— Tak, ale nie wiemy wcale, jakiej dosięgnie wysokości.

Pędzono więc naprzód. Dugan wskazywał towarzyszącom na czerniejące zdala wyniosłe słupy i zachęcał ich do pospiechu.

Tymczasem niebezpieczeństwo, zagrażające karawanie zwiększało się z każdą chwilą; Dugan zaczynał powątpiewać w duszy, czy mu się uda dosięgnąć w porę wybrzeży jeziora, odległych jeszcze na kilka kilometrów.

Wielbłądy brodziły najprzód po kolana, następnie zaś po sam brzuch; woda przestraszała te zwierzęta, zrodzone w dalekich pustyniach, odmawiały więc posłuszeństwa, zatrzymywały się uparcie na miejscu, tracąc drogi czas. Jeźdźcy łagodnymi słowy i pieszczotą zagnalali je do dalszej drogi.

— Już tylko dwa kilometry! Odwagi! — powtarzał Dugan, który trzymał się na przodzie.

Na nieszczęście podróżni natrafili na zagłębienie, gdzie woda sięgała dromaderom powyżej łopatek. Zatrzymano się więc wahajaco.

— Nie przebrniemy tędy! — zawołał Jerzy — trzeba okrążyć.

— Nie wystarczy nam na to czasu, — szepnął Abel.

— Kiedy tak, to zginęliśmy! Boże, ratuj nas!

— Przyjaciele, nie traćcie zimnej krwi, zwątpienie i przestrasz powiększa bowiem stokrotnie niebezpieczeństwo.

— A więc dobrze, nie boję się! — odparł na wpół z płaczem chłopiec; — ale cóż zrobimy? Dokoła niema żadnej wyniosłości.

— Będziemy próbowali, czy nam się uda dotrzeć wpław do brzegu.

— Alboż wielbłądy potrafią pływać?

— Niezawodnie, choć nie tak dobrze, jak konie. Trudno, nie widzę innego sposobu. Czyż lepiej pozostać na miejscu i czekać bezczynnie, aż nas woda pochłonie? Komu więc życie miłe, niechaj robi jak ja.

— Ależ ja nie mogę puścić się wpław! — zaprotestował Halm, unosząc się na siodło; — cała moja kolekcja zamoknie i zepsuje się. Nie, nie, za nic w świecie, wolę tu pozostać!

— Weź pan pudło na plecy, — doradził Abel.

— Jest za ciężkie i za duże.

— No, to złóż je pan na mojem siodle.

— A pan gdzie będziesz siedział?

— Nigdzie.

— Jakto?

— No, będę płynął. Zareczam panu, że nie jestem gorszym pływakiem od mego dromadera i z łatwością dosięgnę brzegu. Morbora mi towarzyszy, jak widzę. Tom słusznie przypuszcza, że wielbłąd nie udźwignie dwóch jeźdźców.

— A ja? — zagadnął Jerzy.

— Przecież w swoim czasie rywalizowałeś ze mną w sztuce pływania; zrób więc to małe poświęcenie dla dobra nauki. Zrzucić buty i kurtkę, żeby ci nie ciążyło zbyt ciężkie ubranie.

Hej, Tomie! — dodał; — mógłbyś także naśladować nas.

Pastuch nie odwrócił nawet oczu, wlepionych uporczywie w daleki horyzont i wyrażających głęboką rozpacz.

— Tomaszu, czy słyszysz? — powtórzył Abel, — zsiądź z wielbłąda!

Zamiast odpowiedzi, poszukiwacz złota roztworzył szeroko ramiona i wydał jęk głuchy.

— Co tobie jest? — zagadnął Dugan.

Tom popatrzył chwilę na naszego podróżnika, potem ogarnął rozpaczliwym gestem horyzont.

— Placer nasz tonie, placer czy pan tego nie rozumiesz?!

Po tych słowach pastuch zionął całym potokiem strasznych przekleństw i bluźnierstw; obawa utraty skarbów, które pozyskał, przyprowadziła go nieledwie do szaleństwa.

— Uspokój się, człowieku! — upominał go Dugan. — Myślisz o złocie, stojąc jedną nogą nad grobem, bo to jezioro łąda chwila może cię pochłoniąć! czyż dbasz więcej o nie aniżeli o życie? Zresztą nie masz jeszcze powodu do rozpacz: Bob nie omieszka chyba wynieść worków gdzie na wierchołek skały i ocali część złota...

— Łebbym mu roztrzaskał, jak psu, gdyby tego nie zrobił, — chrapliwym głosem odparł pastuch.

— Towarzysze, płyniemy obok siebie, i uważajmy jeden na drugiego, — rzekł Dugan; — przedziurawić worki z wodą, bo to niepotrzebny ciężar; broń na wierchołek siodła, wraz z mąką, tytoniem i cukrem. Prędko!

W mgnieniu oka wykonano te rozkazy.

— Czyście gotowi?

— Gotowi.

— A więc w imię Boże! Kierujmy się prosto przed siebie do tamtych skał.

Wielbłądy, parskając i chrapiąc, poszły wpław za Duganem; Abel, dzielnie rozpierając przezroczystą ton rękami, podążał tuż za swoim; Jerzy nie dał się wyprzedzić, i trzymał się tuż obok murzyna.

Hop przez kilka minut tańczył na grzbiecie dromadera, szczekając głośno, ale, zachęcony głosem swego młodego pana, skoczył do wody z pluskiem i natychmiast wyrwał się na czoło karawany, jak gdyby chciał się ścigać z Morborą.

Czarny przewodnik nie wiele sobie robił z przygody, która sprawiała tak silne wrażenie na jego towarzyszach; w lewym ręku trzymał swój oszczep, łunierang i tarczę, prawą zaś pływał prędko i zupełnie swobodnie; na jego ciemnoczekoladowej barwy obliczu igrał nawet uśmiech, wywołany zapewne zachowaniem się Halma.

Uczony siedział na wierchołku siodła z kolanami pod brodą, aby nie zamoczyć nóg, trzymając się konwulsyjnie kulbaki i rzucając trwożliwe spojrzenia to na oddychającego ciężko wielbłąda, to na pudło, zawierające jego cenną kolekcję.

Na usprawiedliwienie zacnego entomologa trzeba dodać, iż sztuka, w której tak celował Edgar Poe i kapitan Webb, była dlań zupełnie obcą; miał on naturę nawskróś lądową, obawiał się wody, nigdy jej nawet nie pijał, znajdując się w zwykłych warunkach.

Morbora nurkował co parę minut, aby zmierzyć głębokość wody; wynosiła ona około pięciu metrów, i ku brzegowi wzrastała jeszcze, zamiast się zmniejszać, co było niezbyt pocieszającym znakiem.

Przeplłynawszy połowę drogi, Dugan zauważył, iż jego dromader zaczyna słabnąć; należało koniecznie ulżyć biednemu zwierzęciu, to też podróżnik zdecydował się opuścić swe siodło. Tom uczynił tak samo; z wyjątkiem Halma, wszyscy więc płynęli o własnych siłach.

Najbliższy prąd nie dawał się uczuwać, posuwano się rażno ku dość wyniosłemu miejscu, które znajdowało się już tylko o jakie 500 metrów.

— Trzymacie się? — zagadnął Dugan, wodząc dokoła wzrokiem.

— Doskonale! — odpowiedzieli Jerzy i Tom.

— Pływamy jak kaczki! — zawołał z uśmiechem Abel. — Zdaje mi się jednak, że wielbłądy nie dosięgną łądu; nasz oddycha bardzo ciężko i nurza się głęboko.

Doktor, ujrawszy, iż jego pudło zaczyna moknąć, wydawał gniewne okrzyki; usiłował zbliżyć się do zwierzęcia, unoszącego jego skarby, lecz nadaremnie; na domiar złego uczuł, że i jego własny wierzchowiec walczy ze znużeniem.

— Ratunku, tonę! Moja kolekcja! Ocalcie przynajmniej zbiór! — jęczał.

Abel i Jerzy podążyli z pomocą entomologowi; pomimo oporu z jego strony, zsadzili go z siodła, wzięli pod ręce i ciągnęli pomiędzy sobą.

— Żdaj się pan na nas a nic ci się nie stanie, — rzekł student.

(c. d. n.)

silne deszcze padać mogą, jeżeli tylko ilość pary która z ziemi unosi się w górę przeważa tę, którą powietrze objąć może. Teraz niech mi panna Kazimiera powie, kiedy więcej pary jest w powietrzu, w zimie czy w lecie?

— W lecie, panie profesorze.

— To też w lecie w naszym klimacie oraz w gorących krajach niebo jest zawsze silnie błękitne, z powodu większej ilości pary wodnej, im ilość ta jest mniejszą, tem niebo jest bledsze. A teraz skoro dałem już odpowiedź na pytanie panny Zofii, powróćmy do dalszego ciągu ostatniej lekcji fizyki — zakończył pan K. pouczającą rozmowę.

A. M.

BŁĘKIT NIEBA.

— Dlaczego niebo jest błękitne? Czy to kolor powietrza? Ależ nie, bo o powietrzu czytałam, że jest bezbarwne.

Tak mówiła trzynastoletnia Zosia, do swej ciotecznej siostry Kazi, o rok starszej.

Kazia nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, lecz obie zaciekawione panienki postanowiły znaleźć na nie odpowiedź.

Gdzież jej szukać jeżeli nie u profesora fizyki?

To też nazajutrz ledwie przyszedł na lekcję skoczyły ku niemu.

— Panie profesorze, dla czego niebo jest błękitne?

Pan K. poglądził siwą brodę i odparł z uśmiechem, — Cieszy mnie bardzo ta ciekawość; zaraz o tem pomówimy.

Gdy usiedli przy stole pan K. zaczął:

— Niech mi powie panna Kazimiera jaki jest skład powietrza.

— Powietrze — odparła Kazia — zawiera w sobie tlen i azot, dwutlenek węgla wreszcie parę wodną...

— Otóż ta para wodna — przerwał jej profesor — nadaje kolor atmosferze.

— Jakto? — zawołała ze zdziwieniem Zosia.

— Czysta woda ma kolor błękitny — mówił znów profesor, czyli, że z siedmiu barw, na które daje się rozłożyć promień słoneczny, pochłania wszystkie, z wyjątkiem błękitnej. Przedewszystkiem, niech mi powie panna Zofia, czy my widzimy parę wodną?

— Nie — odparła Zosia — parę widzimy tylko wówczas, gdy skrapla się pod wpływem oziębienia, każda woda stale paruje a jednak na szklanką wody naprzykład nie widzimy pary wcale, ani nad stawem, ani nad rzekami.

— Dobrze — odrzekł profesor; — na skraplanie pary wpływa jednak nie tylko jej oziębienie ale także ilość jej zawarta w powietrzu. Powietrze bowiem może jej pomieścić tylko pewną ilość, im jest cieplejsze tem więcej zawierać jej może, ale jednocześnie gorąco wpływa na silniejsze parowanie mórz, rzek i jezior, dla tego też podczas wielkich upałów



Ludwik Pasteur.

SYN MARNOTRAWNY.

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

— Wielki Boże! — szepnęła Julcia cicho — że też to matka tak puściła dziecko samo.

Dała znak Marysi aby milczała i mimowoli nie zawołała na dziecko, które wołanie to mogłoby wytrącić z równowagi i przypawić o zgubę.

Stały obiedwie, dech wstrzymując, gdy wtem biedne dziecko, przestraszone szumiącą wodą pod jego stopami, idąc może za instynktem, który mu kazał rękami chwycić się stałej podpory, postanowiło usiąść, zaczęło się chylić, straciło równowagę i w oczach Julci i Marysi zniknęło pod wodą. Prąd wartki zaczął je bystro unosić, nad powierzchnią fali dały się chwilowo dostrzegać: malutka główka pokryta płowemi włosami, zaciśnięta drobna piastka, lub czerwona spndniczka.

— Panienko! co panienka chce zrobić? — krzyknęła przeraźliwie Marysia,

obejmując Julcię rękami. Ale Julcia silnie odepchnęła dziewczynę i wskoczyła w rzekę na ratunek dziecka.

Marysia z przeraźliwym krzykiem biegła ku stodołę, w której pracowali ludzie, wołając nieprzytomna: ratujcie moją panienkę!

Julcia tymczasem prując drobnymi rękami fale, płynęła do tonącego dziecka i chwyciła je szczęśliwie. Ale teraz wysiłek przechodził jej możność: musiała walczyć z prądem fali i nie wypuszczać ciężaru z ręki, czuła, że słabnie, że siły ją opuszczają, lecz ani na chwilę nie przemknęło jej przez myśl ratować własne życie, a poświęcić drugie. Dobywając sił ostatek, walczyła z unoszącą ją falą... jeszcze chwila wysiłku... i dobija szczęśliwie do brzegu, wspiera się, składa swój ciężar na piasku. ale to już resztką sił, które teraz zupełnie ją opuszczają, osuwa się w wodę, czuje, że tonie, traci przytomność i już nie wie zupełnie co się z nią dzieje.

Na szczęście nadbiegają ludzie, których sprowadził

krzyk Marysi, jakiś człowiek rzuca się w wodę i po niedługiej chwili wynosi Julcię, ale sztywną zupełnie.

Krzyki pełne przerażenia obecnych sprowadzają zbiegowisko nad rzekę, kobiety jedne zajmują się dzieckiem, które niebawem przychodzi do siebie, siada na piasku i rzuca dokoła przerażone spojrzenie; inne starają się ocucić Julcię, ale bezskutecznie; nie daje ona ani znaku życia. Ktoś z gromady biegnie dać znać na plebanję, jako znajdującą się najbliżej. Julcię nie przestają rozcierać; jedna z kobiet wykrzykuje z uniesieniem:

— O! Matko Boska! zaczyna oddychać.

Od strony plebanii biegnie pani Bielińska, blada, przerażona, za nią podąża brat, proboszcz staruszek.

— Oh! doktor, żeby do którego nadszedł coprędzej — woła pani Bielińska, przypada do Julci, która leży rozciągnięta na piasku i z energią, jakiejby się nikt nie spodziewał po tej wątłej kobiecie, rozpoczyna cucić Julcię.

Wtem zbита dokoła gromadka, rozstępuje się na dwie strony przed nadbiegającym mężczyzną; jest to doktor. Głosem krótkim, rozkazującym, urywanym, wydaje polecenia, które w mgnieniu oka są spełniane. Po jakimś czasie blade rumieńce występują na policzki Julci, usta jej się poruszają, oddycha gębo ko przez chwilę, otwiera oczy i wodzi niemi dokoła.

— Uratowana! — wyrzekł doktor krótko.

Teraz trzeba ją zanieść do domu i czuwać nad tem, aby nic nie zakłóciło jej spoczynku.

W jednej chwili zostają urządzone nosze, na których obecne kobiety układają posłanie z własnych chustek.

Ale pani Bielińska szepcze pocichu do staruszka proboszcza:

— Mój bracie, pan Rodowski nie powinien dowiedzieć się nagle o tem, co się stało. Niech brat pod jakim pozorem wyprowadzi go z domu, w stronę cmentarza, aby nie zobaczył ludzi z noszami; jak wróci, ja sama opowiem mu wszystko powoli.

Staruszek proboszcz pospieszył biegnąc, pomimo swoich lat siedemdziesięciu.

Pani Bielińska postępowała obok noszów z jednej strony, doktor z drugiej. Po przyniesieniu Julci do domu złożyła ją na łóżku i zajęła się wszystkim z troskliwością i przezornością macierzyńską.

Julcia była uratowana. odzyskała przytomność, ale była tak osłabiona, że nie mogła przemówić słowa, ani poruszyć żadnym członkiem. Lekarz kazał jej wlać w usta kilka łyżek wina, po którym kiedy dziewczę zasnęło głęboko, zalecił spokój i odszedł, oświadczając, że obecność jego jest teraz zupełnie zbędna.

Przez okno pani Bielińska ujrzała wracającego brata

z panem Rodowskim. Wywoławszy uśmiech na usta, wybiegła naprzeciwko idącym.

— Cóż, proszę pana — zaczęła do pana Rodowskiego, siląc się ciągle na uśmiech, opowiedział mój brat panu, jakiego strachu narobiła nam Julcia? Osunęła się, przechodząc przez kładkę i zamoczyła się cała; lękałam się, żeby to jej nie zaszkodziło i zapakowałam do łóżka. Teraz śpi, ale niech pan pójdzie zobaczyć jak śpi smacznie.

Pan Rodowski spojrzał na mówiącą, która nie przestawała się uśmiechać i największe przerażenie odmalowało się na jego twarzy. Teraz przypomniał sobie te dziwne spojrzenia, jakim każdy, kogokolwiek na drodze spotkał, rzucał na niego. Pan Rodowski nie zwykł zwracać uwagi na nieznanym sobie, ale to zainteresowanie, jakie na widok jego, okazywano, było tak szczególne, iż go to uderzyło. Więc prze-

czucie jakiegoś wielkiego nieszczęścia, czy jakiejś groźnej katastrofy, dech mu w piersiach zatamowało, drżącą ręką otarł zimny pot z czoła i blady jak ściana skierował się do pokoju Julci, a za nim podążyli przyjaciele, którzy jego nieszczęście odczuwali jak swoje własne: zagna pani Bielińska i jej brat staruszek.

W godzinę później Lucyan spotkawszy się z gospodynią, która przyniosła mężowi tytuń, kupiony w mieście, zapytał jej wesoło:

— Byliście w mieście Kazimierzowa, co tam słyszeć nowego?

— Wszystko dobrze, proszę pana — odrzekła kobieta — tylko tam straszne zbiegowisko było dziś nad rzeką, bo się panienka o mało nie utopiła.

— Ato jak? — zapytał Lucyan.

— A no, chciała ratować jakieś dziecko, co wpadło w wodę, i ledwie na pół żywą ją wyciągnęli; nawet nie wiem napewno czy ją odratowali czy nie. Może pan zna? Panienka tego pana, co to dzierżawi poduchowne grunta.

— Pana Rodowskiego? — krzyknął gwałtownie Lucyan.

— A już cię tak.

Lucyan poczuł uderzenie jak gdyby młotem w skroniach, przed oczami zaczęły mu latać ogromne szafrowe kule, nie mógł sobie zdać sprawy czy kto do niego mówił, czy mu się tylko tak wydawało, i nagle krzyknął z gwałtownością niepohamowaną.

— Nie bredziłaś lepiej, kobieto, i nie gadała głupstw do niczego niepodobnych.

— A kiedy to święta prawda — odpowiedziała kobieta, spoglądając na niego ze zdziwieniem. Sama widziałam jak tu stoję przed panem.

Lucyan zanim dosłuchał tych słów, już uwierzył w tę straszną prawdę i czuł tylko jedno: być w domu, być jak najprędzej! Ale przestrzeń pięciu wiorst? Koni, na miłość boską koni! Obejrzał się. Tam stała bryczka pana Szulca,



Malajczycy zabili parę olbrzymich aligatorów... (str. 343.)

on sam siedział niedaleko na stosie desek i przyglądał się pracującym rzemieślnikom.

— Panie! pozwól mi na chwilę swoich koni — zawołał Lucyan, blady jak ściana i na pół przytomny, przypadając do niego. — Zdaje się, że w domu ojca mojego stało się jakieś nieszczęście. Muszę tam być, jak najprędzej. Dziś jeszcze powrócę.

— Dobrze — wyrzekł pan Szulc, spoglądając ze współczuciem na Lucyana. — Jedź pan i nie myśl dziś o powrocie; jutro wstąpię i zabiorę pana.

Wyciągnął do niego rękę, ogromną jak u olbrzyma, w której znikła dłoń Lucyana.

— Nie przerażaj się pan zbyt: wszystko jest w ręku Boga.

Lucyan skoczył na bryczkę.

— Jedź! — krzyknął na stangreta.

Nie mógł siedzieć spokojnie; stojąc oparty o przód bryczki, nie przestawał nagiąć człowieka: Jedź prędzej na miłość boską!

Przed domem wyskoczył i biegnąc wpadł do sieni. Na progu spotkała go uśmiechnięta pani Bielińska.

— Co z Julcią? żyje? — pytał bez tchu.

— Ależ żyje, żyje, i przy łasce Boga nic jej się nie stanie.

— Gdzie ojciec?

— W pokoju Julci. Lecz niechże się pan uspokoi, kochany panie Lucyane. Pan taki wzruszony — perswadowała łagodnie kobieta.

— Niech mi pani opowie jak to było? — pytał Lucyan.

Pani Bielińska zaczęła mówić z możliwą ostrożnością, ale niestety! Lucyan, tak jak poprzednio pan Rodowski, domyślił się całego ogromu niebezpieczeństwa, na jakie była narażona Julcia, i dech zamarł mu w piersiach.

Ostrożnie, na palcach, wszedł do pokoju siostry. Leżała uśpiona na łóżku, przy którym siedział pochylony ojciec. Zbliżył się cicho, lecz był tak wzruszony, iż nie mógł zapanować nad sobą; tłumione łkanie nim wstrząsnęło, odwrócił się i zakrył twarz rękami; płakał. Wtem uczuł rękę ojca na swoim ramieniu.

— Uspokój się, Lucyane — wyrzekł wzruszony pan Rodowski — Bóg nam ją ocali.

Lucyan podniósł wzrok na ojca, ich spojrzenia spotkały się, i obaj rzucili się sobie w objęcia.

W tej chwili Julcia otworzyła oczy i widząc brata w ramionach ojca, szepnęła, składając ręce na piersiach:

— O Boże! dziękuję Ci za to, co mnie spotkało, jeżeli ojciec nawrócił już swoje serce do Lucyana. I lzy radości popłynęły jej z oczu.

— Przyszedłeś także i ty, Lucyane! — szepnęła z wysiłkiem, uśmiechając się słodko do brata.

W odpowiedzi ujął jej obiedwie ręce i okrył pocałunkami.

Ale do pokoju wchodziła już pani Bielińska, która obawiając się wzruszenia dla Julci, wyprawiła Lucyana bez ceremonii.

— Jak się Julcia prześpi, to urządźcie państwo sobie pogadankę, a teraz nikt przy niej nie zostanie, tylko ja sama — powiedziała.

— Zaczna to duszał — szepnął pan Rodowski do syna, i w krótkich słowach opowiedział Lucyanowi, czem dla nich wszystkich była w całym tem zdarzeniu pani Bielińska. Lucyan słuchając ojca, doznawał takiego uczucia, iż zdolny był upaść na kolana przed zacną kobietą, aby jej podziękować za to, co uczyniła dla ukochanej jego siostrzyczki.

Zabawił cały ten dzień w domu i na noc pozostał.

Dzięki Bogu, Julci było tak dobrze, iż chciała wstać koniecznie, tylko pani Bielińska nie dopuściła tego. Na jej żądanie Lucyan przyprowadził dzieci i wszyscy cały czas spędzili przy niej.

Nazajutrz bardzo rano pan Szulc zajechał swoją bryczką aby zabrać Lucyana.

— A co to było takiego z pana siostrą? — pytał, gdy siedzieli razem na bryczce.

Lucyan opowiedział mu całe zdarzenie; jak Julcia ratując tonące dziecko wskoczyła do wody.

Pan Szulc słuchał uważnie, poczem rzekł, puszczać kłęby dymu ze swego długiego cybucha, z którym nie rozstał się nigdy:

— Jednakże to dzielna dziewczyna, ta pana siostra!

— U nas często trafiają się takie — odrzekł z niejaką dumą Lucyan.

— To chwalić Boga, to chwalić Boga! — powtórzył poruszając głową pan Szulc.

Trzeba przyznać, że Lucyan coraz bardziej zyskiwał zaufanie przedsiębiorcy, u którego pracował.

Kilkakrotnie pan Szulc wysyłał go z różnemi zleceniami, z których wywiązał się jak najlepiej. Wysłał go raz na przykład w interesie zamówienia budulcu, potrzebnego przy wznoszeniu baraków, które musiały być gotowe przed jesieniami słotami, dodając: — Już ja mam pojęcie przez pana Knorra co to może kosztować.

Tymczasem Lucyan załatwił interes równie dobrze jak pan Knorr, sprowadził budulec równej dobroci, ale znacznie taniej.

(d. c. n.).

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D

(Ciąg dalszy).

Podczas gdy pan Coverley proponuje działać podobnie jak Jem Tankerton, na swoją rękę, liczni obywatele Miliard-City spieszą z ofiarowaniem swych sił i pomocy, a w obec ich zapалу i warunków posiadania najlepszej broni palnej, czyż wątpić może ktokolwiek, iż wkrótce cudowna wyspa oswobodzoną zostanie, od swych niepożądanych i niebezpiecznych gości.

— Proszę was jednak panowie, zachować wszelką ostrożność i nie narażać się zbyt: nie byśmy nie byli zmuszeni opłakiwać czyjejkolwiek śmierci — zauważył prezydent.

— Należy się spodziewać — dorzucił jeden z radców, iż liczba zwierząt nie jest tak znaczną, jak niektórzy utrzymują...

— I ja mam to przekonanie, — potwierdził pan Bikerstaff — zważywszy mianowicie obszar wczorajszego parowca, który według wszelkiego prawdopodobieństwa, zajmował się dostawą zwierząt menażeryjnych do Hamburga, jako głównego punktu handlu tym towarem. Właśnie w jednej z gazet znalazłem obecną cenę na najpiękniejsze okazy i zdziwiony zostałem poważną sumą, jaką mógł przedstawiać ten transport. Proszę więc sobie wyobrazić, że gdy za słonia płać tam od 12 do 27 tysięcy, to za lwa 5, za tygrysa 4, a 2 tysiące za jaguara, podczas gdy ceny na węże spadły w ostatnich czasach.

— A czy prawdziwe są wieści, że i te płazy znajdują się teraz na naszej wyspie? — pytał jeden z radców.

— Nie zdaje mi się, dotąd bowiem podawane mi raporty nie wspominają o nich wcale. Jakkolwiekby jednak było dołożymy starania, by wyniszczyć ich wszystkich. A zatem do dzieła panowie, bez straty czasu na dochodzenie teraz jakim sposobem zwierzęta te nam dostać się mogły. Dość że są — a być nie powinny!

Wszyscy uznając słuszność tego zdania, gotują się już do odejścia, gdy poważny i zwykle małomówny Hubley Har-

court, adjunkt prezydenta, cieszący się ogólnem uznaniem, na jakie też w samej rzeczy zasługuje, poprosił jeszcze o ciliwilę posłuchania, czego mu naturalnie nie odmówiono.

— Nie mam bynajmniej zamiaru — rzekł poważny mówca przyczynić się do znacznego opóźnienia w działaniu, które sam uznaje, że spieszne być powinno; chciałbym jednak w krótkich słowach podzielić się z wami, szanowni panowie, przekonaniem mem, co do przyczyny napadu, jakiego staliśmy się igraszką, Nikt zapewne z nas nie wątpi już o tem, że okręt, który wczoraj zbliżył się do naszej wyspy, który nie chciał dać poznać swej narodowości, który nagle dzisiaj przepadł bez śladu, że właśnie on to przywiózł nam całą tę menażeryę.

— Jest to niezawodne — potwierdził Nat Coverley.

— Tak jest panowie, ale ja mam jeszcze nadto przekonanie, że ten napad na Standard Island, nie jest wcale skutkiem jakiegoś wypadku...

— A więc w takim razie — przerywa mówcy Jem Tankerdon, który zaczyna jasno pojmować myśli adjunkta Harcourt, w takim razie czyn ten byłby dokonany z planem i rozmysłem...

Szmer zdziwienia przebiegł wśród zgromadzonych.

— Takie jest właśnie moje przekonanie — odpowie dział głosem pewnym mówca. A czyn podobny może być jedynie dziełem naszych wrogów, dla których wszystkie środki są dobre, gdy im zależy na przeprowadzeniu jakiego planu. Wiemy zaś aż nadto dobrze, z jaką nienawiścią patrzy Anglia na Standard-Island.

Głośne okrzyki oburzenia wyrwały się z ust słuchaczy.

— Nie mając prawa — ciągnął dalej pan Harcourt, żądać zniszczenia naszej wyspy, szukają oni innych środków zaguby. Aby więc uczynić ją niemożliwą do zamieszkania, parowiec wczorajszy, korzystając z cienia nocy i gwałtownej burzy, wysadził na nasz ląd całą tę kolekcję dzikich zwierząt...

Zgroza i oburzenie słuchających ujawniły się głośnymi okrzykami pogardy dla tego wroga, działającego podstępnie z pobudek zazdrości, w obec każdego, ktokolwiek ośmieli się, stanąć obok jego potęgi morskiej.

— Nie na próżnych domysłach tylko opieram me zdanie, szanowni słuchacze, lecz przypomniałem sobie właśnie fakt podobny temu, a z którego Anglicy nigdy dostatecznie wytłómaczyć się nie zdołali.

— Jakkolwiek nie brak im wody — zauważył jeden z radców.

— Nie każdą planę wypiera woda — odpowiedział inny.

— Tak jest panowie, po wszystkie czasy historia podawać będzie do następnych pokoleń wiadomość, że kiedy Anglia zmuszoną była oddać Francuzom ich Antyllę, ziemie te nie znały jadowitych płazów, które nagle po ustąpieniu czasowych swych władców, stały się istotną plagą dla kolonistów francuskich. I jakkolwiek o ten czyn rozmysłny głośno posądzano Anglików, ci nie umieli i nie probowali nawet wytłómaczyć się z tak poniżających zarzutów.

W obec takich faktów, jakże wątpić jeszcze mogą przeżarci miliardowicze o prawdziwości domysłów pana Harcourt? Jakże nie mają żywić ku swym wrogom uczuć najmniej dodatnich, gdy przed podobnymi czynami cofnie się niejedyn barbarzyńca nawet.

— Ale — zawołał Jem Tankerdon — jeżeli Francuzi nie mogli oczyścić Martyniki ze żmij i węzów, które tam w swem zastępstwie zostawili Anglicy...

Grzmot oklasków przytłumił głos mówiącego.

— To my, mieszkańcy Miliard-City, będziemy umieli usunąć z naszej wyspy, dzikie zwierzęta które Anglia wypuściła na nas.

Nowa burza oklasków i okrzyków najwyższego wzburzenia.

— A więc na stanowisko panowie! — zawołał w końcu Jem Tankerdon, i nie zapominajmy, że tępiąc lwy, jaguary,

tygrysy i kaimany walczymy przeciwko wrogom naszym, Anglikom!

W godzinę później pisnina miejscowe powtórzyła najwierniej treść całego posiedzenia, i gdy powszechnie wiadomą stała się nieledwie pewność, co do przyczyn obecnego nieszczęścia, gdy poznano rękę, która otworzyła klatki tej pływającej menażeryi, oburzenie ogólne wywołało całą powódź złorzeczeń przeciw przewrotnym synom Albionu.

ŁOWY.

Czyż warto było z kosztem nadzwyczajnym budować sztuczny grunt Standard-Island, czyż warto było dokładać tyle starań i zachowywać tyle ostrożności, by nie dać przystępu na tym kawałku ziemi ani chorobom, ani żadnym nędzom tego świata, aby wreszcie jednej nocy, ręka niegodziwa pogwałciła wszystkie prawa ludzkości? Zaprawdę Towarzystwo w Porcie Magdaleny powinno wystąpić przed trybunał międzynarodowy z pretensjami sum bajecznych, jako wynagrodzenie strat poniesionych!

Ale energiczni synowie Ameryki nie zwykli odkładać stanowczego działania, ani też zadawałniam się półśrodkami tylko — dziś jeszcze, dziś zaraz urządzoną zostanie obława, która dopóty trwać będzie, dopóki dawny spokój i bezpieczeństwo zupełnie przywróconem nie zostanie.

Od tej czynności, do której spieszą wszyscy zdrowi i silni mieszkańcy wyspy, nie uchyla się nawet kapitan Sorel i jego Nowo-Hebryczycy, którzy utrzymują, iż pragną okazać swą wdzięczność za dobroć jakiej doznali.

W samej rzeczy jednak Sorel działa we własnym swym interesie, obawiając się, by niemożliwe warunki życia, odkąd dzikie zwierzęta zajęły Standard-Island, nie wpłynęły na zniżenie planu jej podróży, by mieszkańcy Miliard-City nie zechcieli teraz wprost i jak najspieszniej podążyć do portu Magdaleny, co naturalnie obróciłoby w niwecz wszelkie jego plany.

Artyści francuscy, jako godni synowie walecznej Francyi, nie pozwalają się też wyprzedzić nikomu w gorliwości i zapale dla dobra ogółu i stają gotowi do walki pod przewodnictwem Kalikstusa Munbara, który z lekceważeniem wzruszeniem ramion mówi o lwach, tygrysach i panterach, jakby to były niewinne baranki tylko. Czyżby ten wnuk Barnuma był kiedyś pogromcą zwierząt, albo chociaż dyrektorem wędrownej menażeryi?

Obława na różnych punktach wyspy rozpoczyna się od samego rana pod najlepszą wróżbą, bo oto Sorel i jego Malarze zabili pierwsi parę olbrzymich aligatorów, których umieli wywabić na ląd, gdzie zwierzęta te są mniej niebezpieczne to ciężkie w swych ruchach i obrotach. Ze jednak wody Serpentine Riwer mają, podług sprawozdań, ukrywać ich jeszcze około dziesięciu sztuk, przeto marynarze komandora stanęli na czatach, gotowi wysłać za pierwszym ukazaniem się potwornych gadów, kilka z tych kul wybuchowych, które najtwardsze rozsadzają czaszki.

Walczący na przeciwnym końcu wyspy Jem Tankerdon, złożył niezaprzeczony dowód zimnej krwi, doświadczenia i zręczności wytrawnego strzelca, powalając wspaniałego lwa; jednego z najpiękniejszych jakie wydały skwarne ziemie Afryki, a uczynił to właśnie w chwili, gdy zwierzę szalonym skokiem rzucało się na francuskich artystów.

Ponchard utrzymuje nawet, iż czuł już na twarzy gorący oddech jego paszczy.

W poobiedniej porze, gdy jeden z milicyantów napadnięty przez lwicę, byłby niechybnie stał się jej ofiarą, Cyrus Bikerstaff, jednym pchnięciem kordelasa zakończył nierówną walkę człowieka z królem pustyni.

Działający równocześnie komandor Simoc ze swym oddziałem marynarzy zdołał uśmiercić parę tygrysów; położenie jednak tutaj było trudniejszem, i jeden z ludzi ciężko ranny, odniesiony został do Tribor-Harbour.]

Z nadejściem nocy pozostałe, jeszcze w wielkiej liczbie, straszne zwierzęta, szukając schronień wśród gęstwiny leśnej uniemożliwiły dalszy pościg, a groźne ich wycia niepokoiły przez noc całą wylęknione kobiety i dzieci.

To też słuszne wymyślanie przeciw złym i przewrotnym Anglikom, niezawodnym sprawcom złego, dały się słyszeć wśród wszystkich klas mieszkańców miliardowego miasta.

Nazajutrz równo z pierwszym brzaskiem dnia, rozpoczyna się na nowo obława i stosownie do zdania komandora i prezydenta, pułkownik Stewart każe wyprowadzić dwie armatki, które naładowane pewną ilością mniejszego kalibru kul, skierowano w stronę gęstych lasów wśród których dzikie zwierzęta wyglądały nieufnie w okóło. Tymczasem z przeciwnej strony Jem i Walter Tankerdon, Nat Coverley i Hubley Harcourt wraz z oddziałem milicyi i marynarzy stoją z nabitaą bronią, gotowi strzelać do pojedynczych sztuk, któreby zdołały uciec przed ogniem artyleryjnym.

Bezpośrednio po huku armat rozlegające się przeraźliwe wycia są niezbitym dowodem, iż niejedna kula dosięgła czworonogich wrogów; z pozostałych jednak około 20 sztuk wyskoczyło z lasu wprost na myśliwych, przez których powitane znowu ogniem z dubeltówek, rozproszyły się przerażone, zostawiając za sobą dwie pantery broczące we krwi, wśród ostatnich konwulsyjnych drgań olbrzymiego ich cielska.

Lecz właśnie w chwili ogólnego zamętu, wspaniała okazy tygrysa w wielkim rozpędzie ucieczki, wpada na Francolina, powala go na ziemię i nie trzeszcząc się więcej o swą ofiarę, umyka dalej w szalonych skokach.

Wystraszeni towarzysze przybiegają na pomoc leżącemu bezprzytomnie i podnoszą go pełni niepokoju; lecz gdy chwilowe zemdleńie spowodowane silnem pchnięciem, przeminęło, Francolin czuje się zdrów zupełnie.

Tymczasem Hubley Harcourt przewodnicząc w obławie na krokodyla ukrytą w wodach Serpentine-River, dochodzi do przekonania, iż najskuteczniejszy sposób, wytępienia ich wszystkich razem będzie spuszczenie rzeczki, co też gdy przeprowadzono zostało, wkrótce osiadłe na mieliźnie niebezpieczne płazy, leżały martwe od celnych strzałów milicyi. Jedyną stratą poniesioną w tej walce jest pies Natty Coverleya, którego dosięgła paszcza kaimana; zmyślne jednak to zwierzę ofiarą swego życia, ocaliło kilku ludzi.

Z równym powodzeniem szła walka na wszystkich punktach wyspy, tak, że wieczorem zliczono sześć lwów, ośm tygrysów, pięć jaguarów i dziewięć panter powalonych celnymi strzałami myśliwych. To też gdy wieczorem Kwartet odnalazł się w komplecie w casino:

(d. c. n.)

Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Armaty papierowe. — Czarny dyament. — Setna rocznica wynalezienia litografii. — Podróże do dzikich krajów.

Armaty papierowe! prawda, że temu wierzyć trudno? Jednak tak jest, wyrabiają już armaty z papieru, czyli raczej z masy papierowej co pewno rozpowszechni się już dla

tego samego, że je z miejsca na miejsce przenosić będzie łatwo, jako dużo lżejsze od ciężkich armat spiżowych. Zastosowanie papieru w przemyśle rozszerza się z każdym rokiem. Amerykanie zaczęli wyrabiać najpierw z masy papierowej koła do wagonów, a obecnie próbują wyrabiać armaty. Prasowana masa papierowa, posiada większą sprężystość od metalu i nie ustępuje mu w twardości. Ta własność skłoniła obecnie fabrykantów do wyrobu przedmiotów, które obok trwałości powinny posiadać i sprężystość. Armaty, wyrabiane w ostatnich czasach w Ameryce, posiadają lufy stalowe, otoczone grubą warstwą masy papierowej, sprasowanej do twardości granitu. Przekonano się, że dość jest taką papierową lufę otoczyć kilku miedzianemi lub stalowemi obręczami, aby być pewnym, że nie pęknie.

Jeden z członków paryskiej Akademii pokazywał obecnie na zebraniu uczonych czarny dyament, ważący 3,776 kar., który został znaleziony w Brazylii i nabyty przez pewnego Europejczyka. Największe czarne dyamenty, jakie znajdowano dotychczas, ważyły 600,800 i 1,700 kar., a przeto nie były równie piękne jak ten, który może być uważany za pierwszorzędną osobliwość mineralogiczną. Jest on tak duży jak pięść, a znaleziony został przez górnika w prowincyi Bahia. Wartość tego dyamentu szacują na 200,000 franków; zrobiono z niego odlew gipsowy do muzeum. Dyament czarny jest twardszy niż biały.

Setna rocznica wynalezienia litografii przez aktora i literata bawarskiego, Aloizego Senefelder'a, obchodzona jest obecnie w Paryżu wystawą litografii francuskiej z bieżącego stulecia, mieszczącą trzy oddziały zagraniczne: włoski, rosyjski i holenderski, który jest najwięcej zajmujący. We Francji wynalazek litografii został upowszechniony później niż gdzieindziej. Dopiero w r. 1819 Senefelder otrzymał na niego patent. Rysunki litograficzne rozpowszechniły się tam wszakże szybko i oglądać ich można mnóstwo na wystawie, na którą także przysłano z Lipska piękne zbiory rycin.

Podróże do dzikich krajów odpowiednie są jedynie dla mężczyzn, jako przedstawiające liczne niebezpieczeństwa, to też jako osobliwość dzienniki zagraniczne zaznaczają podróż do Afryki młodej Angielki miss Kingsley, rozpoczętą przed dwoma laty. Zamiłowana w nauce wyruszyła ona z Anglii w r. 1893 dla badań botanicznych i entomologicznych w San Paolo de Loanda. Przebywszy czas pewien w Old Calabar, udała się do Gabonu a stamtąd do Lambarene, gdzie kilka tygodni spędziła w misyi protestanckiej. Dotarła następnie do N'Dzole, gdzie o mało nie utonęła w wodospadach, gdyż trzykrotnie łódź jej o mało nie poszła na dno. W Gabon dr. Massen udzielił jej swojej szalupy, na której zwiedzała wyspę Corsico. Niebawem miss Kingsley dotrze do Kamerunu, gdzie zamierza prowadzić dalsze studia. Jest nadzwyczaj zamiłowana w entomologii; będąc bogatą, podróżuje dla przyjemności.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Zadanie konkursowe (z drzew.) — Ludwik Pasteur p. A. M. (z portretem). — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Błękit nieba, p. A. M. — Syn marnotrawny, powieść przez E. Jerlicza. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z drzew.) — Z dalekiego świata — Dodatek: Szkoła (z drzew.) — Babie lato, wiersz p. E. L. — Bajka Agaty. — Łamigłówni i rozwiązania — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na dworze landgrafów Tyurngii, opow. Teresy Jadwigi (dokończenie).

WIECZORY RODZINNE



SZKOŁA.

— 100 —

— A teraz dosyć już biegania! rekreacya się skończyła, czas zabrać się do nauki! — zakomenderował najstarszy z rodzeństwa Władzio. — Siadajcie wszyscy grzecznie i cicho; tu, na tym dywanie będzie szkoła. Hej Burku, a gdzie to uciekasz, czy chcesz niemądrym zostać całe swe życie — dodał chłopiec, zwracając się do ulubionego przez dzieci kota, który jakby zrozumiał rozkaz pana profesora, zawrócił się odedrzwi i zabrał miejsce wśród siedzącej gromadki.

— To opowiedz nam teraz bajeczkę jaką — prosiła Mania

— W szkole bajeczek się nie rozpowiada, bo tam niema zabawy.

— Szkoda wielka, ja bajeczki bardzo lubię! Ale czego się tam uczycie?

— Bardzo wiele rzeczy, a przedewszystkiem czytać, pisać i rachować.

— I ty to wszystko już umiesz?

— No... tak jeszcze nie zupełnie, ale ciebie, Staśkę i Burka uczyć już mogę — przechwalał się żartobliwie chłopiec.

— To weź najpierw Burka do nauki.

— Albo to on najstarszy z was wszystkich — rzekł pan profesor, spoglądając na siostrzyczkę, już pięcioletnią dziewczynkę.

— Eh, niedobrym jesteś! Przecież muszę wiedzieć jak to ty uczyć umiesz.

— A ja znów chciałbym wiedzieć, czego też to panienka nauczyć się może.

— Mój kochany Władziu, zrób to dla mnie i ucz najpierw kotka, to będzie o wiele zabawniej.

— Podobno dziewczynce zawsze ustąpić trzeba; więc chodź tu bliżej mój Burku i opowiedz mi co już umiesz? Niezbyt wiele dotąd? Myszki łapać, na ptaszki

polować, a potem w słońcu lub pod piecem się wygrzewać... Ho, ho, ho! do tego pan kotek jedyny i pewnie nikt lepiej tych sztuczek nie potrafi! Ale czas zabrać się do pracy — perorował gorliwy nauczyciel. — Widzisz te oto literki, trzeba się dziś jeszcze wszystkich nauczyć! W nagrodę za uwagę i pilność dostaniesz mleczka na podwieczorek, a gdy na karę zasłużysz...

— Jaka będzie kara? — pytała zaciekawiona Mania.

— Już ja tam jaką wymyślę...

— Ja nie dam bić Burka, Burek grzeczny, nie drapie — wołała maleńka Staśka.

— A któżby znowu bił ucznia w szkole, alboż to nie ma kącika, ośleń ławki, kapelusza i kto już wie czego!

— To wybornie — wołała Mania klaszcząc w ręce — ciekawa rzecz, na co też nasz Burek zasłużył?

— Zobaczymy to zaraz! Przedewszystkiem nauka czytania, proszę więc jegomości przypatrzeć się uważnie; ta oto literka nazywa się A.

— Miau! — odezwał się kotek.

— Ale nie „miau” tylko A - a - a — poprawił nauczyciel.

— Miau, miau! — żalosnym głosem powtórzyło zwierzę.

— Nieukiem jesteś i widzę, że niewielką będę miał pociechę z ciebie. Czytanie idzie bardzo źle; dostaniesz pałkę w dzienniczku! A teraz z kolei arytmetyka: dwa i dwa daje cztery...

— Miau, miau! — skarżył się znudzony uczeń.

— Próżna moja praca z takim leniuchem! — mówił oburzony profesor. — Idź zaraz na ośłą ławę, a w dodatku dostaniesz kapelusz na głowę i tablicę z napisem, z którego dumnym pewno nie będziesz.

— Ale jaki kapelusz? już ja mojego nie dam! — broniła się Mania, choć ją nauka kotka bawiła bardzo.

— Nie dam kapelusika! — zawtórowała Staśka.

— Bo też wcale wasze kapelusze nie są nam potrzebne — tłumaczył Władzio — dla leniwego ucznia robi się z papieru przybranie głowy, nazywane też osłami uszami.

— To zrobimy je prędko, ja zaraz przyniosę papieru!

I dzieci zajęły się z radością wielką przygotowaniem obiecaney kary Burkowi, a gdy za parę minut wszystko już było gotowe, dobry kotek przyzwyczajony do zabawy z dziećmi, spokojnie poddał się przebraniu, i choć wyglądał bardzo śmiesznie, nie zdawał się wcale zawstydzonym lub zmartwionym otrzymaną karą.

— Wiesz Władeczk, że zabawną bardzo jest ta twoja szkoła — mówiła Mania, śmiejąc się serdecznie.

— Jeżeli uczniem Burek jest, to bardzo zabawne, ale gdyby tak kazano tobie wobec kolegów mieć przez całą godzinę taką osłą czapkę...

— O, za nic w świecie! Jak już naprawdę zacznę się uczyć i gdy mię mama odda na pensję, muszę być zawsze najlepszą uczennicą i dostawać tylko *piątki* w cenzurze, tak samo jak mój braciszek!

BABIE LATO.

Ptaszki świegocą, owady brzęczą,
Ziemia się resztą zieleni szczyci,
A w słońcu istną mienią się tęczę,
Cieniuchne, białe, przejrzyste nici.
Więc na powietrzu kochana dziatwo!
Używaj ruchu, światła, swobody,
Boć z tego ciepła odgadnąć łatwo,
Że kres jesiennej blizki pogody.
Jakże cudownie Bóg rządzi światem!
Jak w każdej porze łaski nań sieje!
On nas obdarza tem babiem latem,
Wprzód nim się zerwą śnieżne zawieje.
I dziś na czystym niebios lazurze,
Jasnym słoneczkiem ta prawda świeci,
Że ten opatrzny Ojciec tam w górze,
Wciąż ma na celu dobro swych dzieci.

E. L.

Bajka Agaty.

(Dalszy ciąg).

— Nie fige! — powtórzył za braciszkiem Wicio, a naturalnie, że nie zapomniał tupnąć nóżką jeszcze mocniej, a bacikiem trzasnąć tak głośno, że aż się obudził Morusek, śpiący sobie spokojnie na poduszce w kąci.

Wśród takiego hałasu spać niepodobieństwo, Morusek też wytrzeźwił się odrazu, zeskoczył żwawo z poduszki, przybiegł do chłopczyków i zaczął czekać zajadle.

Zdawało się, że na to tylko czekał kanarek, bo za-

czął w tej chwili śpiewać tak głośno, jakby nawoływał wszystkich do porządku.

— Cicho! — wołał Józio na kanarka.

— Cicho! — wtórował Wicio, grożąc Moruskowi.

— Cicho dzieci! — wołała Helenka.

Mama przysłoniła sobie oczy, bo powstał taki hałas, że trudno było zdać sobie sprawę co to się dzieje.

Podbudzony kanarek śpiewał jeszcze głośniej, Morusek myślał zapewne, że to jaki napad tatarski, więc czekał co miał siły, na niewidzialnego wprowadzie, ale przeczuwanego nieprzyjaciela, a dzieci w celu uspokojenia krzyczących, powtarzały kolejno coraz głośniej:

— Cicho! cicho!

Naraz, jednymi drzwiami, ze szczotką od zamiata-nia, wbiegła Agata, drugimi kucharka z cęgami w rękę.

— Co to! — wołały przestraszone.

Morusek tak już był zaperzony w gniewie, że nie poznał domownikow, bo z całą zajadłością biegał od Agaty do kucharki, pokazując im białe ząbki, taki zaś był gwar, takie nawoływanie do uciszenia się, że przez długą chwilę, nie można było przyjść do słowa.

Mama nareszcie przysłoniła usta Józiovi, Agata uczyniła to samo Wiciovi, a energiczna kucharka nie namyślając się, pochwyciła Moruska i wyrzuciła do kuchni, a przy tej nagłej ciszy umilkł i kanarek, zdziwiony widocznie tą raptowną zmianą.

Helenka miała rumieńce na buzi od przywoływania braci do porządku, Rozalce przerażonej tą sceną, łezki błyszczały w niebieskich oczkach.

— Co tu się stało proszę pani? — zapytała Agata.

Agata, była to niemłoda kobieta, która służyła jeszcze u rodziców mamusi małych swawolników, których kochała bardzo, a była też w domu uważana, jakby należała do rodziny.

— A cóż moja Agato — rzekła mama — czy nie wiesz jakie figle urządzą nam czasem nasi chłopcy.

— Już ja się tam z Moruskiem rozprawię — rzekła kucharka zabierając się do odejścia — pewnie to jego nowa sprawka, a ja tak się przeleklam, że mi wypadł z ręki kotlet, który kładłam na patelnię. Myślałam, że do pokoju wpadli jacy rabusie, lub, co Boże broń! dzieci kto sparzył ukropem. No, no, już się z Moruskiem rozprawię.

— Franuleczko kochana — zaczęła prosić Rozalka — nie bij Moruska, on nic nie winien.

Dziewczynka wyciągnęła rączki do kucharki, a ta wzięła ją na ręce, bo i Franciszka już kilka lat też służyła u rodziców dziatwy i kochała malców, nie umiając się na nich gniewać, choć gderać umiała i lubiła.

— Kiedy Rozalka prosi za nim, to mu już daruję — rzekła, całując dziecko — powiem mu tylko, żeby się strzegł na drugi raz dokazywać.

Franciszka poszła do kuchni, Agata wzruszywszy ramionami wróciła do przerwanej roboty, a dzieci zawstydzone trochę tem zamieszaniem, stały nie mówiąc ani słowa.

— Bardzo jesteście grzeczni — rzekła mama — bardzo grzeczni.

— Nie mamusiu — odezwał się Józio nieśmiało — byliśmy bardzo niegrzeczni.

— Bardzo niegrzeczni — powtórzył Wicio z pokorną minką.

— Ale bo poco też Helenka mówiła, że zrobimy figę nie drabinkę — zaczął Józio, wracając powoli do fantazyi — przecież możemy zrobić drabinkę nie figę.

— A tak — dodał natychmiast Wicio — zrobimy drabinkę nie figę, zdejmujemy dużo gwiazdek, Rozalce damy trzy, a Helence ani jednej.

Rozalka wzięła w rączki końce fartuszka jakby w niego przyjąc chciała obiecane przez Wicia gwiazdki, a Helenka jako najstarsza z rodzeństwa, wiedziała i rozumiała, że gwiazdek z nieba zdjąć nie można, uśmiechnęła się więc filuternie i rzekła do Rozalki:

— Nie wierz temu co oni mówią, drabinki do nieba nie robią, bo tego nikt nie potrafi, a gwiazdek ci nie dadzą, bo ich sami mieć nie będą.

Na te słowa, Józio już podniósł prawą nogę aby tupnąć, już druga kłótnia była gotową, ale spostrzegli się jakoś wcześniej, że dopiero co ukończyli jedną, nóżki więc powoli wrócili na swoje miejsce, tylko pochmurzone buzie wskazywały, że słowa Helenki wzięli do serca. Mama Helenkę zabrała do książeczki, Rozalka poszła położyć swą lalkę do łóżeczka, a dwóch swawolników usiadło przy małym stoliku, robiąc z klocków próby przyszłej drabiny, która koniecznie dosięgnąć miała nieba.

Dzień jakoś przeszedł szczęśliwie, nie było już więcej ani jednej sprzeczki, a wieczorem dzieci zostały same pod dozorem Agaty, bo rodzice poszli na wizytę i mieli wrócić późno.

Mama ufała zupełnie Agacie, wiedziała bowiem, że dzieci kocha i bardzo troskliwie i sumiennie zajmuje się niemi w jej nieobecności.

— Agato! — zawołała Helenka, gdy lampę wniesiono do pokoju — Agata nam powie bajkę, przecież nam ją obiecałaś, dobrze?

— Dobrze, powiem jeżeli grzeczni będziecie — rzekła Agata sadzając dzieci na krzeselkach przy stole, i kładąc przed niemi różne zabawki — powiem nawet bardzo ładną bajkę, właśnie przypominała mi się jedna.

Dzieci klasnęły w rączki, lubiły słuchać różnych opowiadań, przyrzekły więc zachować się spokojnie.

Helenka zabrała się do szycia koszulki dla lalki, Józio i Wicio mieli przed sobą po arkuszu kratkowanego papieru i ołówki; mieli łąmigłówki i klocki. Rozalka, którą Agata posadziła na wysokim krzeselku obok siebie, ustawiała śliczne miasto z kamienic o czerwonych dachach, z kościołów i drzew zielonych, a za miastem ciągnęły się pola i łąki, na których pasły się tłuste baranki i krówki.

Gdy Agata usadowiła tak dzieci, zasiadła sama przy stole, a włożywszy na nos okulary, wyjęła z koszyeczka druty z zaczętą małą pończoszką i rzekła:

— No, teraz słuchajcie, a nim Franciszka poda nam kolację, opowiem bajkę.

— A co będzie na kolację? — zapytała Helenka.

— Kaszka na mleku i jaja na mięko — rzekła Agata zaczynając swą robotę.

— Ja chcę żeby były twarde jaja — rzekł Józio — i chcę żebw była nie kaszka, tylko czekolada.

— Ja też chcę czekoladę i jaja twarde — zawtórował Wicio.

— Ja chcę na kolację karmelki — rzekła Rozalka zachęcona przykładem braciszków.

— To będzie co mama kazała — rzekła Agata — a dzieciom grymasić nie wolno.

— Wolno! — krzyknął Józio.

— Wolno! — powtórzył jak echo Wicio.

— No, no, zanosi się znowu na burzę — rzekła Agata — proszę się uspokoić, zaczynam bajkę.

— Ja chcę na kolację czekolady i jajka twarde! — zawołał Józio.

— I ja! — powtórzył Wicio.

— To już jutro, jak mama będzie w domu — zaczęła Agata — a teraz niech dzieci nie grymaszą, bo poskarżę przed mamą gdy wróci.

Józio chciał tupnąć nóżką, ale poruszył nią tylko w powietrzu bo do ziemi było daleko, więc zaczął bić w stół rączką, naturalnie Wicio w tej chwili zaczął mu pomagać i powstało istne trzęsienie ziemi. Kamienice Rozalki zaczęły się chwiać, przewracać, aż wkrótce całe miasto runęło w gruzach. Wszystkie drzewa ślicznego parku, a było ich aż cztery, poprzewracały się z korzeniami. Krówki i baranki ze strachu popadały na ziemię, a na widok tego zniszczenia, nie dziwnego, że Rozalka wybuchła płaczem.

Helenka, czego jej się nie chwali, śmiała się głośno, a pocziwa Agata schwyciła się za głowę, ani wiedząc co robić.

Morusek wskoczył na próżne krzesło stojące przy stole, na którym oparł łapki, a czarne rozumne oczki wlepił w chłopczyków, bijących w stół pięściami; potem ze współczuciem spojrział na Rozalkę, widząc łezki jej przykre mu były, wreszcie wzrok swój zdumiony zwrócił na Helenkę, jakby się dziwił, że zamiast, jako najstarsza, uspokoić rodzeństwo, ona, śmiała się tak serdecznie.

W zupełności podzielały zdziwienie Moruska, boć najstarsza z rodzeństwa, w nieobecności rodziców, ich miejsce zastąpić powinna.

Jakież to piękne stanowisko!

W chwili największego wzburzenia drzwi od kuchni otworzyły się z hałasem, przerażona, z rądelkiem w rękę wbiegła Franciszka.

(d. c. n.).

S Z A R A D A.

p. E. L.

Pierwsze z drugim tak w kartach, jak w ludzkim zebraniu, Bywa zawsze na świecie w pewnem uważaniu.

Pierwsze z trzecim, dwa sprzeczne posiada przymioty:

Bo wzrok chroni od słońca, a domy od słoty.

Wszystko jest miastem w Azji, co w losu kolejach,

Pozostało pamiętnem w apostołskich dziejach.

A oprócz tego jeszcze tradycją się chwali:

Że mu nikt nie wyrówna w wyrobieniu stali.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Figlarka dla Góralki z Zakopanego.

1. Spółgłoska.
2. Podrodzaj psa, żyje dziko.
3.
4. Opłata od przesyłanych towarów.
5. Samogłoska.

Rząd śrdkowy oraz środkowe litery złożyć powinny rzekę w Królestwie polskiem.

NITECZKA ARYADNY.

Któż	no	w pół	za	mie	szyl	i
kon	no	sza	ci	ru	le	ra
enej	spie	To	wy	ci	ne	mio
po	oj	ckiem	I	sil	na	i
ciec	dzie	u	w prze	I	cno	tu
z swem	jał	nę	trzy	mo	li	na
chłop	czy	ma	go	do	ło	.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 41

Szarady: Skala — Łaska.

Łamigłówni sylabowej:

- 1) Okręt. 2) Gunia. 3) Neron. 4) Igła. 5) Ebro. 6) Mars. 7) Indyk. 8) Madryt. 9) Izaak. 10) Ezel. 11) Cisa. 12) Zachód. 13) Egips. 14) Murzyn.

Ogniem i mieczem.

Łamigłówni w trójkącie:

C o r t e z
O s m a n
R z y m
T u r
E h
Z

Skrzynka do listów.

Na zapytanie *Sokoła* czemu w artykule pod tytułem: „Tabliczka szyfrowa” powiedziano, że ziemi porcelanowej u nas niema, skoro mamy fabrykę porcelany w Ćmielowie i mieliśmy inne, odpo-

wiadamy, że autor mówiąc to miał na myśli to co w mineralogii zowią: *kaolinem*, czyli czystą *glinką* porcelanową, z której wyrabiana jest porcelana chińska i sewrska. W naszym kraju prawdziwej *glinki* porcelanowej niema. Natomiast znajduje się t. zw. w przemyśle glina porcelanowa, która właściwie jest tylko czystą odmianą *glinki* fajansowej; jest ona znacznie mniej czystą od prawdziwej *glinki* porcelanowej i temu prawdopodobnie przypisać należy fakt, iż nasza porcelana, nie wyłączając saskiej, ustępuje porcelanie chińskiej i sewrskiej, choć metody wyrobu jej są nie mniej staranne od sposobów wyrabiania porcelany sewrskiej (metod chińskich do brze nie znamy)

Pokazuje się, że nie jesteś zarozumiałą *Jago S.* powątpiewając, czy robótka twoja kwalifikuje się do konkursu? Dobrze to wróży o usiłowaniu twoich w dalszej pracy, zapewnić cię jednak możemy, że czepczki bardzo starannie zrobione uradowały matki biednych, małych dzieci którym się dostały. Dobry też zrobiłaś użytek z pierwszej robótki swojej przeznaczając ją dla ubogich, którzy litościwą i pracowitą ofiarodawczynię błogosławić będą.

Radzi jesteśmy, że otrzymana nagroda podobna ci się *Skowronku z nad Wiochry*, i że czytałaś z zajęciem podanie o Świętej Pani, równie jak życiorys Franklina, naśladując wedle sił i zdolności tak szlachetne wzory, możesz stać się z czasem miłym Bogu i ludzioru przytecznym.

Pytasz nas *Narcyzie z Atlanty* o Kazia, Gołąbkę i Rózię D. z Bezdyczewa? Pierwszy wyrósł i ukończył nauki, druga jest już panią domu i matką rodziny, o ostatniej zaś nic wiedzieć nie możemy. Co zaś do uczynionego również zapytania odnośnie do *Atlanty* możemy odpowiedzieć tylko, że nie należy wątpić o prawdziwości wiadomości naukowych i nauk moralnych jakie zawiera, co zaś do jej treści powieściowej, ta jest tajemnicą której autorka wyjawiać nie chce, a więc i my jej wiedzieć nie możemy. Korespondencyi pomiędzy czytelnikami, umieszczając nie możemy dla braku miejsca jak to już mówiliśmy niejednokrotnie.

Robota twoja kochana *Pliszko* przyjętą została pamiętaj jednak, że koniecznym warunkiem jest aby do robót konkursowych przyszyła była karteczka z wymienieniem adresu, przyjętego pseudonymu, a zwłaszcza lat robotnicy, gdyż ta ostatnia wiadomość konieczną jest dla sprawiedliwego ocenienia jej pracy.

Olo Marszałek donosząc, że chce pisać coraz lepiej i zawsze kochać jaskółkę może być pewnym jej wzajemności, gdyż kocha ona bardzo, grzeczne i pilne dzieci.

Uczyłaś się pewnie Iziu bajeczki Jachowicza: „Staś na sukni zrobił plamę“ więc wiesz, że te się wypierają lecz gorsza bieda z wadami jak złość, nieposłuszeństwo, kłamstwo, które plamią charakter i tych grzeczna Izia pewno się wystrzega. Małenka *Marysię*, która już chodzi i obrazki w Wieczorach całuje, zechce uściśnić odemnie.

Poziomce leśnej zasylam podziękowania w imieniu biednych dzieci obdarzonych uszytą przez nią koszulką, spódniczką i sukienką. Rośnij zdrowo i szczęśliwie słodka poziomeczko. Żądany numer przesłaliśmy.

Wdzięczną ci jestem *Lewkonio różowa*, za udzielone wiadomości. Rada jestem że siostrzyczka twój dobra się uczy i celujące ma stopnie na pensyi. Nie wątpię też, że zarazem zechcesz ją naśladować. Zapowiada to twój liścik ładnie i starannie napisany, przy nauce jednak nie zaniedbuj robót ręcznych, które stanowią jeden z nieodzownych warunków kobiecego wychowania.

Cieszę się, że Kamienne serce polubiło *Wieczory*, ale nie pojmuję jak mogło nie chcieć napisać do mnie!

Wszak niewinna ptaszyna nie może wzbudzać obawy?

Mnie raczej mógłby straszyć korespondent z tak groźnym mianem, a jednakże nie lęka się go szczerze życzliwa i oddana wam

Jaskółka.